

NICHOLAS  
SPARKS  
BILLY MILLS

NOWE ŻYCIE. NOWY POCZĄTEK  
WOKINI



Osobista droga do szczęścia i rozumienia siebie

# Przedmowa

*Wokini* to w języku Siuksów Lakota „nowe życie, życie w pokoju i szczęściu”. Książka ta pozwoli Wam poznać samych siebie, pokaże, co to znaczy być szczęśliwym człowiekiem, poprowadzi ku zadowoleniu z życia własną, osobistą drogą. Stapia ona ze sobą tradycyjne wierzenia Indian północnoamerykańskich (opierające się na medytacji, rozmyślaniach, snach i miłości do piękna przyrody) z osiągnięciami współczesnej psychoterapii (takimi jak myślenie pozytywne i naukowe rozumienie szczęścia) i pomogła setkom tysięcy ludzi w Stanach Zjednoczonych.

„*Wokini* – osobista droga ku szczęściu i rozumieniu siebie” – to alegoria, która pokaże Wam, jakie praktyczne kroki trzeba podjąć, aby polepszyć własne życie we wszystkich jego sferach. W miarę jak ta opowieść będzie się toczyć, poznacie mity związane ze szczęściem, a także dowiecie się, czym jest szczęście i dlaczego jest takie

ważne. A gdy już zrozumiecie samych siebie, książka pokaże wam prostą metodę osiągnięcia szczęścia wtedy, gdy będziecie tego chcieli. Nauczy Was niezwykle skutecznych metod tradycyjnej medytacji i powiedzie was przez dziesięć „spojrzeń”, dzięki którym staniecie się mądrzejsi, lepsi i miłsi dla innych. Czytając tę książkę, zapoznacie się z indiańskim spojrzeniem na świat i życie, lepiej zrozumiecie samych siebie i nauczycie się ulepszać własne życie.

Jest to książka prosta i łatwa w czytaniu. A co ważniejsze – skuteczna. Jeśli będziecie robić wszystko, o czym w niej przeczytacie – stwierdzicie, że świat bardziej się Wam podoba; okaże się, że wiecie, jak realizować swoje marzenia, a inni będą się dziwić, jak zdołaliście tego dokonać. „Wokini” to skarb – bezcenny, niezastąpiony, nieoceniony. Korzystajcie z tego skarbu i dzielcie się nim.

# Słowniczek

*Anpa wi* – słońce

*Ate* – ojciec

*Cantesica* – rozpacz, smutek

*Iktumi* – pająk; w tej książce pająk-oszust z legendy Siuksów  
Lakota

*Mnibuba* – tkanina

*Paba Sapa* – góry Black Hills („Czarne Wzgórza”) w  
Dakocie Południowej, serce wszystkiego, co istnieje,  
święte miejsce Siuksów Lakota

*Sota* – dym

*Tiwabe* – rodzina

*Tunkasila* – Święty Mąż z Gór; mądry ojciec wszystkich  
żywych istot

*Wakantanka* – Bóg; Ojciec Niebieski; Stwórca

*Wasicu* – dosł. „ten, który tyje”, tu: biały człowiek, biali  
ludzie, zwłaszcza Amerykanie

*Wicahpis* – gwiazdy

*Wokabnigapi Oiglake* – droga (podróż) ku pojmaniu  
(rozumiejąca podróż)

*Wokini* – nowe życie; szczęście

Powyższe słowa pochodzą z języka Siuksów Lakota; niektóre z nich zostały zapisane fonetycznie, aby Czytelnik wiedział, jak je wymawiać.



# Zwój

## *Lekcja szczęścia*

*Szczęście to wspaniały stan. Jeśli jesteśmy szczęśliwi, czujemy się dobrze, niezależnie od tego, w jakiej znajdujemy się sytuacji. Szczęście daje nam nadzieję w chwilach rozpacz. Dzięki niemu jesteśmy spokojni w świecie pełnym zamętu. Chcę, abyście byli szczęśliwi zawsze, gdy tego zapragniecie. Zapraszam Was do wspólnej drogi i nauki z Davidem, młodym Indianinem, który posiadał tajemnicę szczęśliwości.*

Tego roku zaszły dwa wydarzenia, które zmieniły całe życie Davida. Pierwsze z nich nappełniło go smutkiem. Drugie ujawniło mu największy sekret, jaki komukolwiek udało się poznać. Tak czy owak, David przez trzydzieści lat nie zapomniał – i nigdy nie zapomni – tego cudownego lata w Dakocie Południowej.

Bardziej upalnego lata nie pamiętali najstarsi ludzie. Katastrofalna susza zniszczyła uprawy. Na pastwisku Henry’ego Niedźwiedziego Pazura znaleziono trzy dni temu kolejne padłe krowy – czternaście tym razem. Najpierw zdychały najsłabsze: stare, zbyt młode i chore. Tak chciał *Wakantanka*, dzięki temu przyroda zachowywała równowagę. Przeżywały tylko najsilniejsze i tylko one rozmnażały się, płodząc silne potomstwo. Taka jest natura świata, zawsze taka była i zawsze taka będzie. Henry jednak patrzył na to inaczej. Nie umiał widzieć tylko przyszłych korzyści.

Brakowało jedzenia, a woda, której w studniach pozostały jedynie resztki, była zanieczyszczona przed laty przez okoliczne kopalnie. Ludzie bali się, że to upalne lato będzie końcem życia, jakie znali. David jednak nie tego się obawiał. Wiedział, że ludzie dadzą sobie radę; zawsze w końcu jakoś sobie radzili. Siuksowie Lakota przeżyli wojny, kataklizmy i ospę. Susza ich nie zabije. A jednak bał się, i to bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Ojciec nie przyszedł dziś do kościoła.

David nie bał się konsekwencji duchowych tego faktu. Lękiem napawał go powód nieobecności ojca. Musiało stać się coś złego.

I rzeczywiście tak było.

To było pierwsze z wydarzeń, które zmieniły całe życie Davida.

Wracając do domu, już z daleka zauważył wzbijające się kłęby *soty*. Zrobiło mu się słabo. „Umarła – pomyślał. – Moja siostra umarła, a ojciec pali jej pościel, abyśmy się nie zarazili”. Zachciało mu się płakać, ale nie poddał się pokusie, nie mógł martwić młodszego rodzeństwa. „Muszę być mężczyzną – powiedział sobie, choć był jeszcze chłopcem. – Rodzinie jestem potrzebny silny”.

Nie wszyscy bracia i siostry Davida byli jego rodzonymi braćmi i siostrami. Większość z nich była rodzeństwem przyrodnim albo przybranym – adoptowanymi członkami dalszej rodziny. Dla Indianina



nie ma znaczenia, że jego dom jest ciasny – opieka nad rodziną i pomaganie jej to przecież podstawowy obowiązek. I nie chodzi tu o rodzinę w wąskim sensie, tę podstawową komórkę, lecz o rodzinę w szerokim rozumieniu. A nawet jeszcze szerszym, bo przecież wszystkie żywe istoty są połączone ze sobą więzami pokrewieństwa i najrozmaitszymi innymi więzami. David, tak jak jego przodkowie, wierzył w krąg stworzenia, w którym wszystko jest ze sobą połączone. Było to dla niego coś naturalnego, tak samo jak dla jego ojca i ojca jego ojca.

Siostrę po trzech dniach pochowano na skraju cmentarza, tuż przy bramie wejściowej. Nie było tam żadnych drzew, a w pełnym słońcu chwasty będą szybko rosły. Oczywiście David będzie starał się dbać o grób, ale szkoła i inne codzienne zajęcia zabierały mu dużo czasu. Bardziej niż chwasty niepokoiło go położenie mogiły – przy wejściu, zaledwie parę stóp od głównej alei cmentarza. Przechodnie ją zdeptają. A co gorsza, kiedyś na pewno będzie się poszerzać aleję, najpóźniej za parę lat, i siostrę trzeba będzie niepokoić, przenosząc jej szczątki na nowe miejsce, aby buicki i pontiaki mogły wygodnie przejeżdżać, wioząc bogaczy w odwiedziny do ich zmarłych bliskich.

To przypomniało mu o przodkach, których kości powyciągano z grobowych kurhanów i trzymano teraz na strychach w rozmaitych instytucjach, gdzie jacyś

naukowcy przewracali je na wszystkie strony tylko po to, by stwierdzić, że są takie same jak kości białych. Indian nigdy nie traktowano z szacunkiem. Ale lepsze takie miejsce na cmentarzu niż żadne, a na inne nie było ich stać. Aby pokryć wydatki związane z pogrzebem, ojciec musiał sprzedać samochód. David nie mógł zrozumieć, dlaczego jego rodzinę wciąż spotykają nieszczęścia. Miał dość słuchania, że życie w rezerwacie nigdy nie było łatwe. Mówili to zwykle ludzie, którzy stracili nadzieję. Nie lubił takich ludzi.

Kochał siostrę tak mocno jak matkę, zmarłą trzy lata temu, gdy miał jedenaście lat. Tamten rok był dla niego bardzo trudny. Teraz będzie to samo. Żal, smutek, samotność i bolesne wspomnienia – to wszystko, co mu pozostawało.

Ogarnęło go przygnębienie, a wraz z przygnębieniem przyszedł strach. Uczucie to było tak silne jak prąd rwącej rzeki, w której nie można ustać. Prąd pchał, a David nie miał sił mu się przeciwstawić; wiedział, że prędzej czy później nurt go porwie. Taka moc musi zwyciężyć.

Tęsknił za siostrą rozpaczliwie. Tęsknił, bo była nie tylko jego siostrą, ale i najlepszym przyjacielem. Tęsknił, bo kochał to, co robiła, i to, co mówiła... Bez niej dni stały się długie, puste i mroczne. Łączyło ich pokrewieństwo dusz. Po śmierci matki siostra opiekowała się młodszym rodzeństwem. Był

przekonany, że tylko dzięki niej rodzina się nie rozsypała. Dla wszystkich był to trudny czas, a jej siła w tym strasznym okresie niejednokrotnie dodawała Davidowi otuchy. Siostra była jego doradcą i przyjacielem. Odrabiała z nim lekcje; matematykę umiała wytłumaczyć lepiej niż nauczyciel. Grała z nim w różne gry, chodziła na wędrówki, łowiła ryby i co wieczór, przed snem, miała dla niego jakąś opowieść. A teraz... nie ma jej. Odeszła na zawsze... Już nigdy jej nie zobaczy. Na tę myśl łzy napływały mu do oczu. Płakał godzinami, siedząc nad rzeką i gapiąc się bezmyślnie w płynącą wodę. Wiele razy chciał się rzucić do wody i skończyć z tym wszystkim. Nie wiedział tego, ale padł ofiarą najsilniejszej i najbardziej niszczącej formy depresji. Nie pozwalała mu zasnąć w nocy, wyjadała serce i duszę i niewiele brakowało, by wtrąciła go do Krainy Ciemności.

Nie był jednak typem samobójcy. Był zbyt młody, by całkowicie utracić nadzieję. Czasem rzeczywiście nachodziła go chęć, by odebrać sobie życie, ale wtedy opadały go wątpliwości – nie wiedział, czy zdobędzie się na odwagę. Była jednak ważniejsza przyczyna, która nie pozwalała mu targnąć się na własne życie. Jego siostra by tego nie pochwaliła. Owszem, wiedział, że nie żyje, a mimo to słuchał jej. To było silniejsze od niego.

Czasem raniem lub późnym wieczorem wydawało

mu się, że słyszy głos siostry; jej śmiech wplatał się w głosy ptaków, jej szept płynął z szumem wiatru. Był przekonany, że chciała mu coś powiedzieć. Przez wiele dni zastanawiał się, co to takiego może być, ale depresja go otumaniała. Dopiero po dwóch tygodniach wreszcie zrozumiał, o co siostrze chodzi: pragnęła, by znów był szczęśliwy.

S z c z ę ś c i e.

On sam też chciał odzyskać szczęście. Tęsknił za poczuciem spokoju i zadowolenia z życia. Siostra potrafiła przezwyciężyć smutek i żal po śmierci matki. Czy i on jest do tego zdolny?

Nie wiedział.

Chciałby mieć tyle siły co ona. Zdawał sobie sprawę, że nie chodzi o to, by zapomnieć nagle o wszystkim, co się wydarzyło. Nie, to miało zostać z nim na zawsze. Skąd w takim razie wziąć konieczną siłę? I co najważniejsze – jak odzyskać szczęście?

Te pytania budziły go z rana, prześladowały przez cały dzień, w szkole i przy obowiązkach domowych, z tymi pytaniami zasypiał.

J a k o d z y s k a ć s z c z ę ś c i e? W jaki sposób ma się tego dowiedzieć? Odpowiedź na to pytanie warta jest wszystkich klejnotów świata. Gdyby znał jakiś sposób odzyskania szczęścia, poznałby tajemnicę życia. I spełniłby pragnienie siostry. Ale... Czy sam potrafi znaleźć odpowiedź na to pytanie? Uważał się za

inteligentnego, jednak spryt tu nie wystarczy. Nie, był tego pewien, odpowiedź musiała przyjść z zewnątrz.

Albo od kogoś.

Kto może ją znać? „Chyba trzeba porozmawiać z *ate* – pomyślał. Zawsze mówił i myślał o ojcu w języku przodków: *ate*. – On będzie wiedział, co powinienem zrobić”.

Dla Davida, jak dla każdego chłopaka, *ate* był kimś wyjątkowym. Wysoki jak góra, o silnych rękach, był dumnym człowiekiem, który szanuje siebie i wszystkie żywe istoty. Jego ruchy były zręczne i świadczyły o ukrytej w nim sile. David bardzo chciał być taki jak on. Gdzie *ate* się tego nauczył? Nie chodził przecież do żadnych szkół, nie uczył się też u starszych plemienia. Czytanie opanował dopiero jako dorosły człowiek. Czy mówił synowi prawdę, gdy twierdził, że wszystkiego, co wie, nauczyły go gwiazdy, mrugające na niebie, i promienie słońca, od których topnieją śniegi? A może spokój serca i duszy znalazł w gaju, w którym często siadywał sam na sam ze swoimi myślami? Czy naprawdę w szumie wiatrów, wiejących przez równinę, słyszał głosy przodków?

Ale to nie mądrość i niewątpliwa wiedza *ate* sprawiały, że David czuł dla niego podziw graniczący z lękiem. Najważniejsze było to, że ojciec był zwyczajnie i po prostu szczęśliwy – i to takim rodzajem szczęścia, jakie było dla Davida nieosiągalne. Płynęło ono z głębokiego

zrozumienia samego siebie, akceptacji i miłości wewnętrznej, opromieniającej każdą chwilę jego życia. Ten stan nie zależał od tego, czy mu się dobrze wiodło, ani od tego, jak traktowali go inni. Wyglądał tak, jakby nikt i nic nie było w stanie go pokonać.

Przyjmował świat takim, jakim był, i doceniał wszystkie chwile, z których składa się życie. Uśmiechał się, słysząc śpiewające wczesnym rankiem ptaki; z pogodą ducha przyjmował problemy, które się przed nim pojawiały. Kochał życie, jak każdy powinien je kochać, i cieszył się nim bezgranicznie. David bardzo mu tego zazdrościł.

Z rozpoczęciem rozmowy poczekał do wieczora. Siedzieli w dużym pokoju (dwa pozostałe służyły jako sypialnie całej rodzinie). Pokój był czysty, choć nieco zagracony, ale przy piętnastu osobach w trzypokojowym mieszkaniu trudno tego uniknąć. Na pewno nie kwalifikował się do fotoreportażu w miesięczniku „Dom i ogród”, David wiedział jednak, że to jego dom, i był z niego dumny. Pokój oświetlała lampa, stojąca koło radia, z którego płynęła cicha muzyka w wykonaniu orkiestry Tommy’ego Dorsey’a. Ojciec siedział w fotelu i czytał „Reader’s Digest”. Młodsze rodzeństwo było już w łóżkach, starsze – jeszcze nie wróciło do domu.

David odezwał się cicho:

– *Ate*, chciałbym być znów szczęśliwy. Pomóż mi jakoś. Jestem tak przygnębiony śmiercią Emmy, że nie

śpię i nie mogę się na niczym skupić.

Ojciec spojrział na niego uważnie i pokiwał ze zrozumieniem głową. Kąciki jego warg uniosły się w lekkim uśmiechu. „Tak szybko dorasta – pomyślał – nadszedł dla niego czas nauki”.

Odłożył magazyn na stolik pod lampą i wstał z fotela. Podszedł do stojącego w kącie starego, zniszczonego biurka. Po całym dniu pracy bolał go grzbiet, wiedział jednak, że ten ból jest niczym wobec powagi tej chwili. Wysunął szufladę, poszperał w niej i wyciągnął *mnihuba*, starannie zwinięty w rulon kawałek płótna. David słyszał o tym zwoju, choć dotąd nie było mu wolno – a przynajmniej zdawało mu się, że nie wolno – zapoznać się z nim bliżej. Na tkaninie znajdowało się tradycyjne indiańskie malowidło, wykonane własnoręcznie przez prapradziadka Davida, plemiennego czarownika. Przedstawiało ono szczególnie *Wokabnigapi Oiglake*, czyli drogę ku zrozumieniu.

Ojciec podał zwój synowi.

– Weź to, a dowiesz się, jak być szczęśliwym – rzekł.

David ostrożnie rozwinął rulon. To, co zobaczył, zaskoczyło go.

Na zwoju znajdowała się seria siedmiu malowideł – jedne były bardziej skomplikowane, inne mniej. Nie było żadnych podpisów. David spojrział na ojca pytająco. Nie bardzo wiedział, co ma z tym zrobić.

– Nie rozumiem tego.

Ate uśmiechnął się i pokiwał głową. Potem odwrócił się do okna, uśmiechając się przez cały czas. Ściemniało się, na niebie zaczynały mrugać *wicahpis*. Pokazywały się niespiesznie, jedna po drugiej, jakby ktoś je wyczarowywał – ten widok fascynował go zawsze.

W końcu powiedział niegłośnie:

– Przyjrzyj się temu zwojowi, a zrozumiesz, jak być szczęśliwym przez całe życie. Tego właśnie chciałeś się ode mnie dowiedzieć, prawda?

David skinął głową.

– Tak, ale nie rozumiem, co oznaczają te scenki. Jak mają mi pomóc, skoro ich nie pojmuję?

– Mój synu, musisz się dowiedzieć, co oznaczają.

David znał odpowiedź na następne pytanie, jeszcze zanim je zadał.

– Powiesz mi?

– Nie. Najlepiej będzie, jeśli sam dotrzesz do ich znaczenia. Słowa nie nauczą cię wiele. Znacznie więcej się dowiesz, jeśli dasz się temu zwojowi prowadzić.

David podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

– Prowadzić? Dokąd?

– Zabierz go ze sobą w drogę.

– W drogę? Dokąd mam się udać? – zapytał David.

Ojciec odwrócił się od okna i spojrzał synowi w oczy. Położył mu rękę na ramieniu.

– Nie ma jednej ustalonej ścieżki. To podróż ku zrozumieniu. Sam musisz dojść, co powinieneś zrobić,



aby pojąć znaczenie tych scenek.

– W jaki sposób mam się tego dowiedzieć?

– Powie ci to ktoś mądrzejszy ode mnie. Ktoś, kto potrafi dotrzeć w głąb twojej duszy i stamtąd się z tobą porozumieć. Ktoś, komu ufasz. Ktoś, kogo podziwiasz.

Ojciec mógłby synowi powiedzieć więcej, ale miał powód, by tego nie robić. Jego podróż powinna być przeżyciem, doświadczeniem, a nie lekcją. David jednak nie wiedział, dlaczego *ate* jest tak powściągliwy w wyjaśnieniach.

– Kiedy mam zacząć? – spytał.

– Im prędzej wyruszysz w drogę, tym prędzej wszystko pojmiesz – odparł *ate* i powrócił spojrzeniem do *wicahpis*.

David dał spokój ojcu, bo było jasne, że już niczego więcej się od niego nie dowie. Zabrał zwój do swojego pokoju i przyglądał mu się przez parę godzin, aż wreszcie zasnął. W szkole uczył się o zwyczajach *Wasicu*, jednak indiańską tradycję poznawał także na własną rękę, więc nie była mu obca. Z pewnością mu to pomoże.

W nocy nie spał dobrze.

Rano, o wschodzie *anpa wi*, zjadł obfite śniadanie. Postanowił wyruszyć w podróż jedynie z małym węzełkiem na plecach. Schował w nim zwój. Uznał, że niczego więcej nie musi ze sobą brać.

Pożegnał się z *tiwabe* i opuścił dom. Ruszył gruntową

drogą, która prowadziła ku granicy rezerwatu. Tak zaczęła się jego *Wokahmigapi Oiglake*.

Postanowił najpierw odwiedzić Bena Długie Pióro. Przyszło mu to do głowy, kiedy się ubierał. Miał wrażenie, że to sam *Wakantanka* podsunął mu ten pomysł. Ben Długie Pióro pracował w muzeum indiańskim na obrzeżu rezerwatu. Z pewnością będzie mógł mu coś wyjaśnić. Jest przecież jednym z najmądrzejszych Indian w rezerwacie.

David dotarł do muzeum po kilku godzinach marszu. Kiedy wszedł do środka, zapytał młodą recepcjonistkę imieniem Mary, czy Ben Długie Pióro może go przyjąć. Recepcjonistka uważnie mu się przyjrzała. Zauważyła smutek w jego oczach. Nie było wątpliwości, że młody Indianin cierpi. Widać to było także w jego ruchach i sposobie mówienia. Wstała zza biurka i wyszła.

David wyjął z plecaka zwój i zaczął go studiować. Pewne rzeczy były dla niego jasne. Pierwszy rysunek przedstawiał *Iktumiego*, pająka-oszusta, którego właśnie miał pożreć orzeł. Co *Iktumi* może mieć wspólnego ze szczęściem? Czyżby dzięki niemu David miał odzyskać szczęście? I kiedy miałoby to nastąpić?

Minęło kilka minut. W końcu Ben Długie Pióro przyszedł do recepcji. Miał siedemdziesiąt dziewięć lat (David dowiedział się tego w szkole), ale nie wyglądał na więcej niż pięćdziesiątkę. Zmarszczek niewiele, odrobina siwizny na skroniach; to wszystko. „Nie może

być taki stary” – pomyślał David.

Ben podszedł i wyciągnął rękę.

– Chciałeś ze mną rozmawiać?

– Tak.

– Chodźmy więc.

Poprowadził Davida do swojego gabinetu. Idąc obok Bena, David widział w jego rysach tę samą pogodę ducha, którą tak podziwiał u ojca. „Ben też zna odpowiedź – pomyślał, wchodząc za nim do pokoju. – Wie, jak być szczęśliwym”. Może zechce się z nim tą wiedzą podzielić.

Gabinet był zastawiony indiańskimi eksponatami, starannie oznakowanymi; najwyraźniej Ben przygotowywał je do wystawienia. Widać było, że kocha swoją pracę. David wyciągnął zwój z plecaka i podał go staremu Indianinowi.

Ben Długie Pióro przyjrzał mu się.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał.

– Nie wiem, co ten zwój znaczy. Chciałbym, żeby mi pan to wyjaśnił.

– Rozumiem. – Ben pokiwał głową i uśmiechnął się lekko. Milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się nad doborem najwłaściwszych słów, po czym powiedział: – Ta *mnihuha* została naciągnięta na ramę i wysuszona. Jest bardzo stara. Prawdopodobnie została sporządzona przez któregoś z twoich przodków. Obrazy są ręcznie malowane naturalnymi glinkami i olejami. Widywałem

już takie zwoje. Używano ich do uczenia młodych Indian wszystkiego, co powinni wiedzieć. Przedstawiają symbolicznie podróż. Cały ten zwój to szczegółowa opowieść o podróży młodego Indianina ku oświeceniu. Nazywa się to *Wokabmigapi Oiglake*.

David domyślił się, że Ben ukrywa przed nim prawdę, tak samo jak uczynił to przedtem ojciec.

– *Ate* powiedział mi, że dzięki temu zwojowi mogę odzyskać szczęście.

Ben uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Twój *ate* jest bardzo mądrym człowiekiem.

– Chciałbym wiedzieć, co znaczą te malowidła. Możesz mi powiedzieć?

– Przykro mi, ale nie. Nie mam do tego wystarczających kwalifikacji. Musisz znaleźć kogoś, kto ma większe doświadczenie niż ja. Kogoś, kto umie się porozumieć z twoją duszą. Tylko ktoś taki może ci powiedzieć, co oznaczają te obrazy.

„To samo mówił ojciec – pomyślał David. Taka odpowiedź niczego jednak nie wyjaśniała. Poczul, że do oczu napływają mu łzy. – Dlaczego nikt mi nie chce pomóc? – zastanawiał się. – Dlaczego nikt mi nie chce powiedzieć, co oznacza ten zwój?”

Aż poczerwieniał na twarzy, próbując powstrzymać płacz, a jego głos się załamał.

– Kto może mi to powiedzieć? – zapytał.

Ben Długie Pióro milczał i przyglądał mu się z

pogodnym, spokojnym uśmiechem. David popatrzył na niego z niepokojem.

– Pochyl się ku mnie, chłopcze – szepnął Ben. – Jeszcze bliżej... Coś ci dam.

Wziął Davida za rękę i w tej samej chwili wydarzyło się coś niesamowitego. Łagodna twarz Bena Długie Pióro znikła. Zamiast niej David zobaczył inne twarze, tysiące twarzy, które pojawiały się i odpływały. Były wśród nich twarze dziadka, matki, siostry; przenikały się nawzajem, a mimo to pozostały odrębne. Zobaczył też zwierzęta, setki najróżniejszych zwierząt; zobaczył cały swój kraj. Miejsca i krajobrazy pojawiały się i znikaly, niczym porwane przez tornado. David miał wrażenie, że sam również znalazł się w trąbie powietrznej. Uniósł się wysoko, a cały świat zaczął wirować. Ścisnęło go w dołku. W jego głowie pojawiło się tysiące myśli; przemykały tak szybko, że za nimi nie nadążał. Myśli o życiu i miłości, marzenia, obrazy, ludzie i zwierzęta pojawiły się z wyrazistością, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył. Rwący strumień myśli groził rozsadzeniem czaszki...

Nagle wszystko zamarło. Otoczyła go ciemność. Nie wiedział, gdzie jest i co robi. Ogarnął go strach, ale w oddali pojawiła się siostra. Z początku była tylko maleńkim światełkiem, a potem zbliżyła się powoli i stanęła przed nim, cała w białej poświacie. Poświata, choć bardzo silna, nie wydawała się niebezpieczna.